Kto grozi Europie?

28 lipca 2012

Po brukselskim szczycie w końcu czerwca unijne elity mają nowego konika: unię bankową. Ma ona pomóc w przezwyciężeniu kryzysu, wzmocnić jedność UE i częściowo obciążyć kosztami kryzysu prywatne instytucji finansowe, które do niego doprowadziły. Tym samym, wedle optymistów, w Europie miałaby się zakończyć era kanclerz Angeli Merkel, która dotychczas narzucała politykę zaciskania pasa pracownikom i pompowania publicznych pieniędzy do prywatnych banków. Zmniejszanie długów publicznych przez cięcia w wydatkach i obniżki płac zaowocowało recesją, która wydatnie powiększyła zadłużenie. Ratowanie banków jest coraz droższe – w 2010 r. aby ustabilizować europejskie rynki finansowe potrzeba było 700 mln euro dziennie, obecnie kosztuje to 4 mld euro każdego dnia. Czy jednak unia bankowa może coś tu zmienić?

Wątpliwości nasuwają się nie tylko dlatego, że dotychczas największe kraje UE notorycznie gwałcą własne reguły. Pakt Stabilności i Wzrostu z 1997 r., w którym po raz pierwszy narzucono irracjonalny limit 3% deficytu budżetowego i 60% zadłużenia publicznego został dotąd złamany już 88 razy. Na czele łamiących były Niemcy i Francja co nota bene tylko wyszło im na zdrowie. Ważniejsze jest jednak coś innego. Wciąż przecież poruszamy się po powierzchni zjawisk. Wciąż mowa jest o integracji rynków i instytucji finansowych, ale ani słowa o integracji socjalnej, podatkowej i płacowej. Nawet najlepsza unia bankowa w ogóle nie dotyka przyczyn kryzysu. Te zaś tkwią w samej naturze wspólnej waluty oraz neoliberalnym charakterze projektu europejskiego.

Wielu ekonomistów twierdzi, że to nie dług publiczny, ale nierównowaga między poszczególnymi krajami unii walutowej leży u źródeł obecnego kryzysu. Wszystko przez realizację zasady konkurencji w obszarze wspólnej waluty. Luka konkurencyjna w strefie euro wynosi 20-30% i wciąż się powiększa. Jeżeli

porównamy Niemcy i kraje peryferyjne – takie jak Portugalia czy Grecja – jest jeszcze gorzej. W 1999 r., u progu inauguracji wspólnej waluty deficyt obrotów bieżących Grecji wynosił 3,1% i nie odbiegał zbytnio od poziomów notowanych w innych krajach strefy euro, z wyjątkiem Niemiec. W roku 2008 wzrósł do rozmiarów 14,7%. W ten sposób po utworzeniu eurostrefy nierówności pomiędzy poszczególnymi tworzącymi ją krajami nie tylko nie znikły, ale dramatycznie się zaostrzyły.

Niemiecki wzrost napędzany był ekspansją eksportową w strefie euro. Za sukcesy Berlina dosłownie zapłaciły kraje południa eurostrefy. Przyjęcie wspólnej waluty, której wartość ustalono na poziomie odpowiadającym gospodarce niemieckiej, ale zasadniczo przewartościowanej dla gospodarek peryferyjnych miało dwojakie skutki. Atrakcyjność produktów niemieckich wzrosła proporcjonalnie do tego jak wspólna waluta automatycznie podniosła ceny (i obniżyła atrakcyjność) produktów krajów peryferyjnych. Inflacja wywołana przyjęciem zbyt silnej waluty (właściwe przejściem od słabych walut narodowych do silnej waluty wspólnej) w krajach takich jak Grecja czy Hiszpania pogorszyła konkurencyjność ich gospodarek. Niemcy odwrotnie, nie tylko uniknęły tej inflacji dzięki silnej marce, ale mogły się nawet cieszyć obniżką cen swoich drogich dotąd produktów w relacji do drożejącej produkcji krajów południa eurostrefy. Do tego doszedł jeszcze efekt zamrożenia płac – operacja o tyle łatwa dla rządu w Berlinie, że po części amortyzowana rozbudowanym systemem socjalnym. Kraje nie posiadające takiego systemu, np. Grecja – zmuszone były ratować swój spadający wskutek inflacji popyt wewnętrzny podwyżkami płac – zbyt małymi zresztą skoro w 2008 r., po latach podwyżek, średnia płaca w Grecji była nadal niemal o połowę mniejsza od zamrożonej od dekady średniej niemieckiej. Żeby było śmieszniej, po przyjęciu wspólnej waluty jedynym sposobem na poprawienie konkurencyjności stała się dewaluacja wewnętrzna czyli obniżka płac, wskutek czego kraje peryferyjne zostały skazane na miotanie się między cięciami i recesją a inflacją cen towarów i deficytem handlu

oraz zadłużeniem w każdym przypadku. Alternatywa ta obowiązuje także krajach twardego rdzenia Unii. Od początku kryzysu w coraz brutalniejszej postaci.

Pomysł wspólnej waluty, która zamiast wyrównywać poziomy rozwoju w krajach się nią posługujących stanowi narzędzie konkurencji wzmacniające najsilniejszych i odbierające atuty słabszym to w istocie tylko konsekwencja neoliberalnej wizji UE. Źródłem problemu nie jest nierównowaga między sektorem finansowym a gospodarką realną, ale między kapitałem a siłą roboczą. Dlatego przetrwanie Unii zależy nie od kolejnych paktów regulujących finanse, ale od posunięć takich jak wprowadzenie europejskiego kodeksu pracy, w tym płacy minimalnej, zakazu zwolnień grupowych i zasady negocjacji gałęziowych, zwiększenie budżetu unijnego (np. w proporcji do PKB, do poziomu połowy budżetu USA), reforma EBC polegająca na rezygnacji z drukowania pieniędzy i przejadania ich przez banki na rzecz finansowania inwestycji publicznych, zerwanie z zasadą konkurencji na rzecz zasady solidarności. W świetle tych, niezbyt przecież radykalnych postulatów widać dobrze, że największym zagrożeniem dla UE są dziś jej przywódcy, którzy o Europie socjalnej nawet nie chcą słyszeć.

Autor: Przemysław Wielgosz
Źródło: Le Monde Diplomatique